

Kazimierz Kupisz

Z KORESPONDENCJI Z PROFESOREM BOLESŁAWEM KIELSKIM

[...] stan mego zdrowia ulega różnym fluktuacjom; są okresy ciężkie i lżejsze. Obawiam się, żeby nie przyszły gorsze i by zbyt długo nie trwały. Przed tygodniem dowiedziałem się z przykrością o śmierci profesora Wiśniewskiego, z którym się przyjaźniłem może więcej, niż z którymkolwiek profesorów Wydz[iału] Hum[anistycznego]. Był 10 lat młodszy ode mnie i wydawał się zdrowy, odwiedzał mnie często przy ul. Nowotki, a także spotykaliśmy się w kawiarni. [...] Coraz większa pustka pozostaje koło mnie. Na szczęście pamięta o mnie rodzina i co tydzień mam odwiedziny któregoś z jej członków; pociechą dla mnie jest również życzliwa pamięć Drogiego Pana Kolegi o mnie, jej echa w postaci miłych mi listów [...]. Czy Kochany Pan Kolega przegląda "Kwartalnik Neofilologiczny"; czy nie napotkał Pan tam jakiejś recenzji którejś z moich prac? Obawiam się zapomnienia, a może i ostrej krytyki. Prócz Pana Kolegi, jedynie tylko prof. Kotarbiński (który mnie tutaj odwiedzał) przywiązuje do nich pewną wagę, czemu dał zresztą wyraz także w jednej ze swych wypowiedzi drukowanych. (Radość, 19 XII 1963 r.).

Jeśli prawdą jest, że prawdziwą śmiercią człowieka jest nie zniszczenie biologiczne, ale zniknięcie z ludzkiej myśli i zanurzenie się w niepamięć, gdzież, jak nie w tej Katedrze, i kiedy, jeśli nie szczególnie w tych dniach, należało dać dowód, że to zapomnienie, którego jej twórca się lękał, nie stało się Jego udziałem.

To przyczyna, dla której tutaj jesteśmy.

Nie czas tu chyba na dłuższe relacje o życiu prof. B. Kielskiego¹, choć gdy spojrzeć na nie ponownie, już z perspektywy lat, trudno oprzeć się zdumieniu, że tyle w nim było działania i tyle ludzkiego trudu; ale jeśli przypomnieć trzeba najważniej-

¹ Zob. K. Kupisz, Bolesław Kielski, [w:] Sprawozdania z Czynności i Posiedzeń ŁTN 1963-1970, Łódź 1972, s. 270-273.

sze epizody, to ze względu na najmłodszych w tej Katedrze i ze względu na jej studentów, dla których to życie jest już odległą w czasie historią.

Bo cofnąć się trzeba do pierwszego dziesięciolecia naszego wieku, kiedy na Uniwersytecie Jagiellońskim wykładał język starofrancuski i gramatykę porównawczą języków romańskich i kiedy, jeszcze jako student, święcił swe prymicie ogłaszając pracę o *Stanie fonetycznym języka francuskiego w epoce Przysiąg Strasburskich*.

W tym samym okresie uwzględnić by trzeba obok dydaktyki uniwersyteckiej pracę w szkolnictwie średnim, do czego zmusiły warunki bytowe, co jednak nie przeszkadzało pracy naukowej; książka *O wpływie Molière'a na rozwój komedii polskiej* (1907) do dziś dnia zachowuje swą wartość.

Przypomnieć trzeba działalność na polu pracy pedagogicznej i oświatowej, gdy perspektywy odzyskania niepodległości nakazywały przygotować zręby przyszłego szkolnictwa polskiego i gdy w latach międzywojennych pracował w ówczesnym Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego jako wizytator szkół średnich, naczelnik wydziałów, redaktor wydawanych przez to ministerstwo czasopism, a zwłaszcza odznaczył się śmiałymi inicjatywami w zakresie pogłębienia stosunków kulturalnych z zagranicą, szczególnie na niwie współpracy z Francją; przyniosło Mu to należne oceny wśród swoich i obcych, francuski Krzyż Legii Honorowej, szwedzki, węgierski i rumuński Krzyż Komandorski, polski Złoty Krzyż Zasługi i Medal XX-lecia Pracy w Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Przypomnieć trzeba podręczniki do nauki języka francuskiego dla szkół średnich, opracowywane począwszy od 1921 r., na których całe pokolenia uczyły się mowy Corneille'a i Racine'a, słownik z 1916 r., zajęcia dydaktyczne w Wyższej Szkole Dziennikarskiej, Wyższej Szkole Handlowej i na Uniwersytecie Warszawskim, wreszcie prace edytorskie i literackie, trud przekładu Trybuny Ludów, co było przybliżeniem społeczeństwu polskiemu najbardziej postępowych kart Mickiewiczowskiego dzieła.

Czas na intensywniejszą działalność naukową przyszedł dopiero po drugiej wojnie światowej, gdy doktorat i habilitacja w Uniwersytecie Mikołaja Kopernika (1946 r.) umotywowały nominację na profesora nadzwyczajnego (1946), a następnie zwyczajnego na Uniwersytecie Łódzkim (1949). Nasza Katedra, dla zorganizowania której opuścił Kraków i zlecone mu wykłady na Uniwersytecie Jagiellońskim, jest jego dziełem.

W jakich warunkach ją tworzył - to również już historia; pamiętamy to my, starsi, i on sam o tym pisał². To pewne, że nie zaczynał od gabinetów i dywanów, bo najprymitywniejsze meble były problemem (choćby anegdotyczny już stołek, usunięty dopiero po latach ze spisu inwentarza), nie mówiąc już o trudnościach lokalnych i zupełnym braku odpowiednich pomocy naukowych. Nasze obecne pomieszczenia i obecne wyposażenie Katedry w porównaniu z tym, co było i co miała w 1945 r., można uznać bez mała za luksus. Zgromadzony na samym początku księgozbiór liczył 1198 woluminów, obecnie jest ich w bibliotece Katedry ponad 12 tys.; nie było żadnych pomocy audiowizualnych, dziś jest laboratorium i niezbędna aparatura.

O sposobie ustalania programu zajęć mało mi wiadomo - jako student nie byłem związany z "ośrodkiem zarządzania"; nie wiem, czy liczono godziny obciążeń słuchacza w ciągu studiów i w ciągu tygodnia, żeby się ktoś nie przemęczył nauką; wiem tylko, żeśmy ich wówczas nie wpisywali do indeksów z przymusu, ale dla osobistej satysfakcji, zwłaszcza jeśli było ich więcej niż 30 tygodniowo. Główne dyscypliny programu to gramatyki: opisowa i historyczna, całokształt dziejów literatury francuskiej, na latach wyższych - wykłady monograficzne: z literatury (zasadniczo dla wybierających kierunek literacki) i z gramatyki porównawczej języków romańskich, słuchane przez wszystkich, choć przeznaczone w zasadzie dla wybierających kierunek językowy; były również wykłady z historii kultury francuskiej oraz z literatur romańskich (w tym z literatury hiszpańskiej); obowiązywały dwa lektoraty: włoski i hiszpański. Zasięg wykładów był więc niemały, szerszy niż np. w ówczesnym Uniwersytecie Warszawskim³, ale ani nikt nie doszukiwał się przerostu zajęć (np. z gramatyki, ze względu na specjalizację profesora), ani nie było petycji o ich zmniejszenie, ani dwa lektoraty nie przerastały percepcji umysłowej studentów. Dobrany personel - i pod względem liczebnym, i ze względu na przygotowanie oraz specjalizację - mógł sprostać bez zastrzeżeń dydaktycznym zadaniom Katedry⁴. Ale to był jej okres heroiczny -

² Zob. B. K i e l s k i, *Z dziejów Katedry Filologii Romańskiej UL*, "Zeszyty Naukowe UL" 1973, seria I, z. 98, s. 3-9.

³ *Ibidem*, s. 5.

⁴ 1 profesor (prof. Kielski), 2 docentów (doc. L. Łopatyńska, doc. S. Ciesielska-Borkowska), 1 adiunkt (dr S. Łazarowa), 3 lektorów (mgr M. Domańska, mgr A. Rynkowska, lic. M. Gustin) i 1 asystent (mgr J. Kowalska).

z końcem roku akademickiego 1951/1952 musiała ona przerwać swą działalność. Wtedy właśnie zwolnienie od zajęć dydaktycznych pozwoliło prof. Kielskiemu poświęcić się bardziej pracy naukowej - jej owocem był *Słownik terminologii gramatycznej francuskiej i polskiej* (1959) oraz dwa tomy *Struktury języków francuskiego i polskiego w świetle analizy porównawczej* (1957, 1960) - i wtedy jednak, a nawet po przejściu na emeryturę, dopóki zdrowie na to pozwalało, prowadził nieobowiązujący wykład o charakterze publicznym, by nawiązać w ten sposób swoisty kontakt uczelni łódzkiej z dorosłym pokoleniem słuchaczy.

Tak było w intencjach Profesora; ale chociaż liczebność audytorium miała im zaprzeczyć, nie ze względu na liczbę słuchaczy należy je oceniać, lecz ze względu na uporczywe trwanie na posterunku, na wytrwałą do ostatka wierność swemu powołaniu.

Emerytura - był to przede wszystkim cios w postaci bolesnej osobistej straty - śmierć żony, a potem nieustanne, coraz bardziej wyczerpujące i w potocznym wymiarze bezdomne zmaganie się z dolegliwościami, aż do kresu w Zakładzie Specjalnym dla nieuleczalnie chorych w Radości:

Jestem więc tutaj w Zakładzie "specjalnym", przeznaczonym dla starców cierpiących na nieuleczalne choroby i czekających na chwilę wybawienia, tj. na śmierć. Oczywiście jedni są bliżsi, inni dalsi od tej chwili, ale sam widok tych "pensjonariuszy", do których i ja należę, wytwarza b[ardzo] przykrą atmosferę. Co do mnie, to wprawdzie żadna z mych chorób nie przedstawia maximum nasilenia, ale jest ich przeszło 1/2 tuzina, w sumie więc powodują stan b[ardzo] dokuczliwego osłabienia z akompaniamentem wszelakiego rodzaju dolegliwości. Pociechą moją jest istotnie to, że nie jestem obecnie ciężarem mych również cierpiących córek, i to, że przebywam w niedalekiej odległości od nich, co pozwala im - jak również wnukowi i zięciowi - odwiedzać mnie na przemian, tak że przynajmniej ze 2 razy w tygodniu mogę się z nimi widzieć i porozmawiać. [...]

Może Drogi Pan Kolega sobie wyobrazić, że na miejscowe towarzystwo nie mogę liczyć; pod tym względem stosunki w sanatorium (w Długopolu), a nawet w szpitalach były nieporównanie lepsze. Ale trzeba się z tym pogodzić i dopóki mogę coś czytać [za kilka miesięcy i to będzie niezwykle trudne] i umysłowo pracować, nie mam powodu do skrajnej rozpacz. (Radość, 2 X 1963 r.).

Przywykliśmy patrzeć na naszych zwierzchników jak na wykonawców pewnych funkcji, oceniając ich nieraz jako bezduszne automaty,

podporządkowane rutynie i regulaminom, i nie przychodzi nam do głowy, że można widzieć w nich ludzi. A do tego nie trzeba nawet długich i intymnych rozmów - jest zawsze jakaś wstydlivość czy dyskrekcja - wystarczy umieć patrzeć. Z podobnych rozmów z Profesorem niewiele pamiętam, ale "listowne rozmowy", które, jak napisał, sprawiały mu dużą ulgę i radość (list z 28 VI 1962 r. - Długopole), ukazywały go z tej strony, jakiej zwykle u zwierzchników nie dostrzegamy. Jeśli o tym mówię, to nie po to, by kusić się nietaktownie o próby charakterystyki, ale by przekazać coś z tego, co w codziennych kontaktach zazwyczaj bywa niewidoczne. Pamięci zatroskanej o najbliższych dawał Profesor niejednokrotnie wyraz w swoich listach i jego uczucia rodzinne były z tych, które zawsze usuwały się na drugi plan i w których miłość miała widać swój absolutny wymiar. Pamiętam go nad trumną żony, nie mogę też zapomnieć jakby zdziwionego pytania, dlaczego wydało mi się prawdopodobne, że namiętne sonety Luizy Labé odnosiły się do kilku partnerów miłosnych. Pytanie to padło w związku z lekturą jednego z rozdziałów mej przyszłej rozprawy doktorskiej; pomyślałem ze wstydem: cóż znaczy literacka egzaltacja namiętnych porywów, co same sobie celem i prawem, wobec tej pełnej prostoty pewności, że jeśli miłość, to może być tylko jedna i trwała...

W owych "samotniach", w szpitalach czy sanatoriach, kontakty z dawnym środowiskiem były szczególnie cenne i starannie odnotowywane:

Przed 10 dniami odwiedził mnie prof. T. Kotarbiński, z którym dłuższy czas (bodajże przeszło godzinę) miałam przyjemność rozmawiać. (Radość, 18 XI 1963 r.)

I kilka miesięcy później:

Nie potrzebuję dodawać, że cieszyłbym się, gdyby Pan Kolega znalazł sposobność odwiedzenia mnie w Radości (bynajmniej nie radosnej). Odwiedzili mnie dotychczas prof. Kotarbiński, prof. Brahmer i prof. Gostkowski (ten ostatni kilkakrotnie). Zapowiedział także odwiedziny prof. Czerny. Prof. Gostkowski (Łódź, ul. Sienkiewicza 29, m. 5) mógłby Panu udzielić informacji co do *itinéraire*. (Radość, 25 V 1964 r.)

Ta dokładność informacji dotyczących trwania wizyty bądź adresów, nie tylko ulica, gdzie mieścił się Zakład, ale i numer pokoju; szczegóły co do *itinéraire* będą omówione w następnym liście. Ktoś byłby skłonny dopatrywać się w tym pedanterii - była to tyl-

ko systematyczność i troska o to, aby wszystko, co się przekazuje, miało uporządkowany charakter, by było "dobrą robotą" lub do takiej służyło innemu. To nie pedanteria, ale sumienność i zamiłowanie do ładu i porządku, bez których nie ma postawy badacza. Nie przypadkiem w swoich wykładach z gramatyki powtarzał nam Profesor, że Francuzi mogą poprzestać na przekazywanych powszechnie w podręcznikach ujęciach, ale my, Polacy, musimy je uzupełniać i pogłębiać. Nie przypadkiem również znajdowały się w listach Profesora żale na niepunktualność w nadsyłaniu korekt wydawniczych, na przewlekanie się czasu publikacji, na bałaganiarski styl pracy jednostek organizacyjnych, z którymi w czasie swej choroby z takich czy innych powodów musiał się zetknąć, na ich nieodpowiedzialną postawę wobec drugiego człowieka, na lekceważący brak odpowiedzi na listy. "Punktualność nie należy do naszych cnót. I nie tylko punktualność" - pisał (Wrocław, 10 IV 1963 r.), a ponieważ starał się pracować do ostatka, choć nie miał potrzebnych do pracy materiałów (zob. np. list z 6 II 1963 r.) i siły, i oczy odmawiały coraz częściej posłuszeństwa, sprawy tego rodzaju były dla niego źródłem szczególnie dokuczliwych przykrości:

Pracować, a nawet czytać wiele nie mogę. Czytam *Bouvard et Pécuchet* Flauberta oraz *Vie de Cézanne*, ale bardzo powoli. Poza tym skleciłem artykuł na 1/2 arkusza druku pt. *Z zagadnień stylistyki porównawczej (francuskiej i polskiej)*, przeznaczony do jubil[euszowego] nru "Prac Polonistycznych" ku czci prof. Skwarczyńskiej. Obecnie przepisuje go na maszynie wnuk i mam nadzieję, że w oznaczonym terminie będę mógł odesłać tę ramotę do ŁTN. Ale pewnie nie doczekam się jej ukazania się w druku, podobnie jak nie mogę doczekać się przysłania mi bodaj korekty drukarskiej mego artykułu pt. *Jeszcze o Panu Jowiańskim*, przyjętego do "Prac Polonistycznych" jeszcze przed przeszło dwoma laty (w maju 1961). Jak mi mówił dyr. Trzy-nadlowski, który odwiedził mnie w szpitalu we Wrocławiu, rzecz znajdowała się wówczas w "adiustacji". Pisałem do ŁTN z prośbą o informację, ale nic mi nie odpisano. No, bo widocznie były wiceprezes tego Towarzystwa nie zasługuje obecnie na odpowiedź [...] (Radość, 4 IX 1963 r.)

On sam nie tylko nie należał do tych, którzy nie odpowiadają na listy, ale tłumaczył się z każdego opóźnienia, chociaż ich nigdy w gruncie rzeczy nie było, bądź z niezbyt częstego w Jego mniemaniu pisania, choć, biorąc pod uwagę funkcjonowanie poczty, pisał co najmniej co miesiąc, a zazwyczaj częściej.

I jeszcze jedno: te czcigodne postacie wybitnych, a dzisiaj już

zgasłych uczonych, odwiedzających chorego Kolegę, jakże to wymowne dla Jego stosunków z ludźmi i jakże to dalekie od skłócenia i animozji od wieków nieobcych środowisku humanistów, i nie tylko.

Ale nie chodziło tu jedynie o nawiązanie przerwanej przez chorobę łączności ze swoim światem - On tym światem żył niezależnie od takich czy innych odwiedzin. Stąd zatroskanie o stan zdrowia prof. Kawyna (Długopole, 20 XI 1962 r.), stąd reakcja na śmierć prof. Wiśniewskiego, stąd prośba o przekazanie wyrazów współczucia prof. Skwarczyńskiej z powodu jej pójścia do szpitala (Radość, 11 XI 1964 r.), stąd zainteresowanie wszystkim, co dotyczyło Uniwersytetu:

Cieszyłbym się także, otrzymując trochę wiadomości o naszym Uniwersytecie, jakie plany organizacyjne i programy przewidywane są na Wydziale Filologicznym? [...] Ucieszyłem się wiadomością, że mieszkanie po mnie przy ul. Narutowicza zostało przydzielone członkowi naszego Wydziału. Mam tę satysfakcję, że poszedłem Uniwersytetowi w ten sposób na rękę. (Radość, 2 X 1963 r.)

Do ostatka zainteresowany działalnością naukową Wydziału, tak poczuwał się do obowiązku regularnej z nim współpracy, że przypisywał sobie winę z powodu własnej nieobecności, aż nadto przecieł usprawiedliwionej, na zebraniach:

Od pewnego czasu otrzymuję zawiadomienia o posiedzeniach nauk[owych] komisyj Wydz[iału] I ŁTN, ostatnio o posiedzeniu Kom[isji] Teorii Literatury (27 bm.) z referatem prof. Lewickiego. Żałuję bardzo, że nie mogę uczestniczyć. Zapewne Pan Kolega weźmie udział; proszę mnie usprawiedliwić u p. Skwarczyńskiej i poprosić ją, by usprawiedliwiła moją nieobecność u przewodniczących z innych Komisji tegoż Wydziału. (Radość, 22 II 1964 r.)

Jeszcze na niepełne dwa miesiące przed śmiercią, w liście wyjątkowo nieczytelny, bo pisanym w łóżku i przy daleko posuniętym osłabieniu oczu, nie zapominał o prośbie o podobne usprawiedliwienie (Radość, 25 I 1965 r.); tak samo zresztą ubolewał, że nie mógł uczestniczyć w posiedzeniu ŁTN, na którym wygłosiłem referat. (Radość, 5 XII 1964 r.). Ale przede wszystkim interesował się pozostawioną Katedrą i sprawa restytucji filologii romańskiej była przedmiotem Jego nieustannej troski (np. listy z 14 IV 1961, 22 II 1964, 26 X 1964 lub 11 XI 1964 r.).

Tyle się często pisze i mówi o feudalnych stosunkach w ka-

tedrach i instytucjach. Nie zauważyłem tego feudalizmu u prof. Skwarczyńskiej, która była krótki czas moim bezpośrednim przełożonym jako kurator Katedry, nie widziałem go również u prof. Kielskiego, choć sposobności do obserwacji, wliczając lata studiów było dużo więcej. Gdy patrzę na te sprawy z perspektywy lat, zakładając przy tym, że zwierzchnik nie musi przypominać o swoim poleceniu i prosić o informację o jego wykonaniu, życzylbym młodym pracownikom podobnych przełożonych zawsze i wszędzie. Były, rzecz naturalna, rozmaite rzeczy, które należało wykonać, i sprawy, które należało załatwić, ale ani Profesor nie miał nigdy powodu do niezadowolenia, ani spełnienie Jego poleceń nie było przymusem, tak bardzo rozumiało się samo przez się i tak bardzo znajdowało motywację w Jego postawie wobec Katedry i w Jego stylu pracy. Uosobienie ładu, porządku i skrupulatności, dawał na każdym kroku dowody tych zalet. Wyjechawszy do sanatorium, nie omieszka "prosić uprzejmie" o podanie swego adresu do wiadomości dziekana (Łądek Zdrój, 19 VII 1960 r.); zapowiadając swój powrót, podaje dokładne daty przyjazdu i przyjęcia do Katedry, a wiedząc, że korzystający z urlopu asystent nie przebywa cały czas poza Łodzią, prosi o wcześniejsze "zajrzenie" do Katedry w razie wcześniejszego powrotu (Łądek Zdrój, 26 VIII 1960 r.); przy tym wszystkim listy nie są bynajmniej rejestrem poleceń, ale życzliwą i serdeczną wymianą myśli i wrażeń i taki ich charakter będzie się potęgował w dalszej korespondencji. Trosce o właściwy styl pracy w Katedrze towarzyszyła troska o jej majątek. Jeszcze w tej Radości, która wcale nie była radosna, od dwóch lat na emeryturze, dopytuje się, "czy wszystkie pozostałości (książki, maszyna do pisania itp.) zostały już oddane do Zakładu" (26 X 1964 r.), jeszcze wtedy o wszystkim pamięta. Jeśli w dniu wznowienia zajęć dydaktycznych, po dwudziestoletniej przerwie, można było rozpocząć je, jakby tej przerwy nie było, istniała bowiem nadal w niczym nie uszczuplona biblioteka i nie brakowało ani jednej szafy, ani jednego krzesła, tak sumiennie sprawdzanych co roku - była to Jego zasługa, choć żadnych zasług sobie nie przyznawał:

Wzruszony byłem uznaniem Pańskim (zresztą niezasłużonym) przypisującym mi zasługi jakieś w dziele podtrzymywania dorobku Katedry. Od chwili, gdy rozpocząłem tułaczkę po szpitalach, to zasługa kuratora prof. Skwarczyńskiej i niewątpliwie także Pańska. W każdym razie dziękuję bardzo za starania i rad dowiedziałbym się, o ile zasoby Katedry uległy powiększeniu. (Radość, 22 II 1964 r.)

Więc może "feudalne" wykorzystywanie asystenta przy własnych badaniach? Cóż to mogła być za pomoc z literaturoznawcy przy pracach językowych! A jednak nie o korekty literowe chodziło, gdy, prosząc o uwagi o swoim tekście, zaskoczonemu taką propozycją niespecjaliście wyjaśniał, wierny zasadom dobrej klasycznej szkoły, iż właśnie dlatego ich oczekuje, że zasygnalizują niezawodnie, co w jego tekście mało jasne i co wymaga uzupełnienia:

Uwagi do korekty przesłane mi przez Pana Kolegę są bardzo cenne. Wiele z nich uwzględniłem, ale wszystkich nie mogłem [...] z obawy, aby w drukarni poprawiając drobniejsze uchybienia nie popełniono większych. [...] Oczywiście poprawki które wszystkie wprowadziłem, niektóre stylistyczne, a najważniejsze, na co Pan Kolega zwrócił uwagę, to owe zdanie "Oby pokój [...]". Poprawiłem łatwo [...] W pewnych wypadkach spotkaliśmy się, w innych znów ja znalazłem jeszcze trochę do poprawienia. Czekajmy tedy na przysłanie czystodruku. [...] (Łądek Zdrój, 8 VIII 1960 r.)

I inny jeszcze list, który, równie jak poprzedni, rzuca dość nieoczekiwane światło na "feudalny" stosunek między profesorem a asystentem:

I tak doznaję tych wyrzutów w związku z obarczaniem Pana lekturą *Les Fables d'Esop* [chodziło o komedię Boursaulta pod tym tytułem] i pisanem sprawozdania z niej dla mnie. Sprawozdanie to, sporządzone umiejętnie, dało mi potrzebne wyjaśnienie, ale doszedłem do tego przekonania, że nie należy tej kwantii wciągać do mego artykułu. [...] Poza tym śpieszyłem się bardzo i możliwie rzecz uprościłem, aby dotrzymać terminu. [...] W każdym razie sprawa stosunku Jowialskiego do *Fables d'Esop* jest dość ciekawa (choćby nie było "wpływu") porównawczo. Jeśli Pan będzie kiedyś miał wolniejszy czas i ochotę, może Pan z tego tematu zechce skorzystać. Tak więc w tym wypadku moje wyrzuty sumienia byłyby mniejsze. (Łódź, 27 V 1961 r.)

Wiadomo, jak ważną rzeczą w naszej pracy jest właściwe postawienie problemu badawczego, a tym samym znalezienie właściwego tematu; wiadomo, jak tematy podobne bywają zazdrośnie strzeżone - wbrew spotykanej w tej materii rezerwie Profesor samorzutnie proponuje własną tematykę. W danym przypadku chodziło o krótki artykuł, innym razem o kontynuowanie Jego "linii":

Bardzo się cieszę, że Pan Kolega przywiązuje do niej pewną wagę, a jeszcze bardziej cieszyłbym się, gdyby myśl kontynuowania jej przez Pana Ko-

legę (w miarę ochoty i czasu) doszła do realizacji. Chodziłoby głównie o zamierzoną cz. III Struktury... (Radość, 17 XII 1964 r.)

- a więc o kontynuację Jego własnej pracy z zakresu stylistyki francuskiej i polskiej, z myśli, o której jeszcze rok temu nie rezygnował (zob. Radość, 2 X 1963 r.).

Było jeszcze współautorstwo słownika, ale nie byłbym współautorem, gdyby mi tego nie zaproponował, bo do Niego przecież zwrócono się z propozycją. Czytał Profesor pierwszą redakcję, zakrojoną na słownik szkolny; drugiej, rozszerzonej, już nie mógł i nie chciał. Zmęczony chorobą i nieustannymi utarczkami z wydawnictwem, młodszemu pozostawiał *volens volens* dalsze kłopoty, gotów nawet zrzec się swej części honorarium. Sprawa słownika, zanim przesunięcia personalne w redakcji nie wyprowadzą jej na właściwą drogę, wraca co jakiś czas w pisemnych wypowiedziach Profesora i jest źródłem Jego stale odnawiającej się zgryzoty, tak bardzo wszelkie niedokładności i niedotrzymywanie terminów nie mieściły się w Jego stylu pracy i wyobrażeniach o "dobrej robocie".

Kierownik Katedry, jak głoszą urzędowe formuły, czuwa nad rozwojem młodej kadry. Konfiguracja, w której profesor-językoznawca miał sprawować opiekę naukową nad asystentem wybierającym specjalność literacką, nie mogła być przeszkodą, bowiem Profesor był filologiem w klasycznym rozumieniu pojęcia, a asystent dzięki Jego wykładom, których jako student słuchał bynajmniej nie z obowiązku, miał dla zagadnień językowych równie szczerze zainteresowanie jak dla literatury; była ona nawet szczególnie użyteczna, bo zapewniając opiekę, jaką dawało doświadczenie i wiedza przełożonego, pozostawiała asystentowi maksimum niezależności i inicjatywy, a tym samym stawiała zagadnienie opieki nad młodszymi pracownikami na najwłaściwszej płaszczyźnie. Nie będę tutaj sięgał do wystąpień Profesora w sprawie mojej asystentury, przeszerzegowania czy wyjazdu na stypendium; to była urzędowa forma opieki, w której wykazywał nieustanną czujność i zobowiązującą życzliwość - pozostaną nadal w kręgu stosunków osobistych, które tamtej nie musiały w zasadzie towarzyszyć:

O ile z jednej strony list Pański mnie ucieszył, o tyle z drugiej pewne wiadomości w nim zawarte mnie zasmuciły, choć nie były one dla mnie niespodzianką. Francuzi są wogóle mało wylewni, choć uprzejmi, zwłaszcza w stosunku do cudzoziemców, w przeciwieństwie do nas, którzy cudzoziemców adorujemy niejednokrotnie za wiele. Mam jednak nadzieję, że sytuacja ta

się poprawi w dalszym ciągu pobytu Pana we Francji. [...] W każdym razie trzeba być przygotowanym, że nie spotka się Pan rychło z takim entuzjazmem, z jakim spotkał się np. Boyer [lektor francuski w Łodzi].

I taka charakterystyczna rada:

Mówiąc o swej pracy, powinien Pan podkreślać, że praca ma być pisana po polsku, dla Polaków, więc mieć będzie charakter propagandy literatury francuskiej za granicą, a nie charakter konkurencyjny, czego oni nie lubią. (Łódź, 19 XI 1960 r.)

W którymś z następnych listów:

Co do Francuzów, to niech się Pan Kolega nie przejmuje sposobem ich reagowania: to intelektualści *par excellence* w przeciwieństwie do nas emocjonalistów; ale gdy się zainteresują, można na nich liczyć, choć tylko do pewnego stopnia. (Łódź, 27 I 1961 r.)

Reagując na moje rozczarowania pierwszych tygodni pobytu we Francji i naiwne na nią spojrzenie z pozycji niedawnego autora *Boya-Żeleńskiego romansu z Francją*⁵, sięgał Profesor dla pociechy życzliwej do własnych obserwacji i doświadczeń:

W nadziei, że wszystko ułoży się pomyślnie, choć może nie tak idealnie, jak Boyowi, życzę Panu Koledze jak najszybszej i gruntownej zmiany nastroju na lepszy, najlepszego samopoczucia i najlepszych wyników pracy [...] (19 XI 1960 r.)

Trudno mi rozstrzygać, czy za tym przypomnieniem Boya, uzasadnionym zresztą całkowicie moim o nim szkicem i oczarowaniem, nie krył się lekki błysk uśmiechu wobec mego nazbyt "literackiego" podejścia do rzeczywistości, ten sam, który, być może, towarzyszył uwadze o pocieszającym mnie zapewne w moich kłopotach fakcie, że zatrzymałem się w hotelu przy rue des Feuillantines, gdzie mieszkał za młodu V. Hugo (Łódź, 27 IV 1961 r.); jakkolwiek było, nie zmienia to w niczym serdecznej życzliwości Profesora dla Jego asystenta. W czasie ośmiomiesięcznego pobytu we Francji otrzymałem 16 listów, a nie muszę podkreślać, czym była dla mnie w nostalgii pierwszego pobytu na obcej ziemi każda ko-

⁵ "Zeszyty Naukowe UŁ" 1961, seria I, z. 20, s. 153-177 i 1962, z. 25, s. 131-150.

perta wyjmowana pośpiesznie z hotelowego casier. Rozczarowania pierwszych miesięcy mego "romansu z Francją" były przedmiotem uwagi Profesora i później:

[...] wracam jeszcze do Boya-Żeleńskiego. Ucieszyła mnie wiadomość o tym, że miał Pan zamiar napisać cz. III swego o nim artykułu. Bardzo bym zachęcał do nieresygnowania z tego zamiaru i do wprowadzenia go w czyn. Pańskie skrupuły dyplomatyczne nie trafiają mi do przekonania, przeciwnie, sądzę, że Francja mogłaby być zadowolona, gdyby dowiedziała się, że w naszym społeczeństwie nie ocenia się jednostronnie literatury francuskiej i że widzi się w niej jeszcze inne walory, niż te, które podkreślał Boy jednostronnie. (Długopole, 20 XI 1962 r.)

Dowody swej życzliwości i zainteresowania dawał Profesor niemal w każdym liście. Czy były to wskazówki mające ułatwić konseksje w paryskim środowisku, czy troska, jak ułożyły się moje sprawy bytowe i jak realizuję swoje zamierzenia, czy zadowolenie z nawiązanych przeze mnie kontaktów i zawartych znajomości (np. z prof. Giudicim - 2 I 1961 r., 23 X 1962 r.), czy radość i gratulacje z powodu każdego sukcesu, jak odczyt w dwudziestą rocznicę śmierci Boya w Institut d'Études Slaves (list z 29 VI 1961 r.) lub udana wizyta u jakiejś uniwersyteckiej znakomitości, czy zwłaszcza zainteresowanie moimi postępami naukowymi. Przebywając od końca maja 1962 r. w Sanatorium w Długopolu i zmuszony do przedłużenia tam pobytu, niepokoił się, czy zły stan zdrowia pozwoli Mu wziąć udział w mojej obronie pracy doktorskiej (listy z Długopola z 8 i 26 VIII 1962 r.), toteż trudności proceduralne powodujące zmianę promotora, o czym dowiedział się po dwóch miesiącach od wysłania pisma (zawsze ta sama operatywność administracji), przyjął nie bez utajonej przykrości (Długopole, 23 IX 1962 r.); może dlatego odżegnywał się od jakiejś w sprawie mojego doktoratu zasługi:

Specjalnie dziękuję Drogiemu Panu Koledze za życzliwe słowa uznania, choć doprawdy grubo przewyższyły one moją minimalną zasługę. Serdeczny ton, w jakim Pan Kolega powiadamia mnie o swym wielkodusznym goście [aluzja do moich oficjalnych podziękowań po promocji doktorskiej], sprawił mi prawdziwą radość. (Długopole, 5 X 1962 r.)

Ale ponieważ restytucję filologii romańskiej wiązałem z moim usamodzielnieniem się, dalszy krok ku temu, tj. habilitacja była przedmiotem Jego uwagi już dużo wcześniej:

Tempo uzyskania doktoratu trzeba przyspieszyć z różnych względów, m. in. także z tego względu, że Ministerstwo nalega na szybką produkcję nowych doktorów. Raczej można zrezygnować do pewnego stopnia z gruntowności pracy w myśl: "le mieux est l'ennemi du bien". [...] A potem trzeba będzie i sprawę habilitacji jak najprędzej uczynić aktualną, rektor bowiem dokłada starań co do wznowienia rekrutacji na fil[ologię] romańską w UŁ, chodzi więc o to, aby Pańska kandydatura nie stała za bardzo "w ogonku". (Łódź, 14 IV 1961 r.)

Doktorat z teorii literatury nie był szczególnie użyteczny z punktu widzenia interesów romanistyki, habilitacja miała przywrócić pożądany stan rzeczy:

A propos habilitacji, czy Pan zamierza habilitować się w zakresie filologii francuskiej czy też w zakresie teorii literatury? Oczywiście musi Pan zdecydować się zawczasu, bo w związku z tym pozostaje temat pracy habilitacyjnej. Mnie by zależało (osobiście) na tym, aby dzięki habilitacji z fil[ologii] franc[uskiej] przybliżyć czas renowacji Katedry tej dyscypliny. (Radość, 22 II 1964 r.)

Przekazując mi swoje sugestie co do tematu, proponował rzecz o Flaubercie w Polsce lub pracę porównawczą o tym pisarzu z Prusem (22 II 1964 r.), a szczególnie kontynuację Jego własnych badań w zakresie stylistyki porównawczej (17 XII 1964 r.), zastrzegając jednak lojalnie, że decyzja zależeć winna od opinii prof. Skwarczyńskiej jako kuratora Katedry (29 XII 1964 r.); ostatecznie uznał racje przemawiające za tematem częściowo już przeze mnie opracowanym:

Sądzę, że dobrze Pan zrobił, postanowiwszy nie zmieniać pierwotnego tematu pracy habilitacyjnej. Przecież już włożył Pan sporo pracy w dotychczasowy temat, a nowy wymagałby sporo czasu na opracowanie. Zresztą do tego nowego tematu (stylistyki porównawczej francusko-polskiej) może Pan powrócić później (nikt chyba Pana nie uprzedzi), a ja chętnie, o ile Pan znajdzie sposobność do pobytu w Warszawie i odwiedzenia mnie, dopóki jeszcze żyję, dostarczę Panu niektórych (może jednak nie nieaktualnych) szkiców.

W tym ostatnim do mnie liście jeszcze raz powracał do swojej roli w dziejach Katedry:

Stanowczo jednak wyolbrzymia Kochany Pan Kolega moje zasługi. Jestam Mu wdzięczny za życzliwą ich ocenę (z niewielu ich się spotykałem), ale świadomy jestem, że nader znikome są to zasługi pomimo przeszło 60 lat pracy.

Nie pamiętam, jak odebrałem te słowa lat temu dwadzieścia; dzisiaj trudno mi sobie wyobrazić coś równie szczerego i równie przejmującego, jak ta ocena własnego życia i własnej pracy... na kilkanaście dni przed śmiercią.

I takie zakończenie:

Ponawiając życzenia wszystkiego najlepszego i mając nadzieję, że osiągnie Pan lepsze od moich wyniki pracy [w oryginale: "lepsze wyniki od moich pracy", z zaznaczeniem koniecznej inwersji - jedyna poprawka we wszystkich listach!], łączę serdeczne pozdrowienia i przyjacielski uścisk dłoni i proszę bardzo o dalszą pamięć. (Radość, 1 III 1965 r.)

Nie mnie tutaj wyrażać opinie o prof. Bolesławie Kielskim jako o uczonym, pedagogu i człowieku - jeśli listy uznać można za materiał wiarygodny, te, które zacytowano, są wystarczająco wymowne. Byłem Jego słuchaczem i asystentem, patrzyłem z bliska na Jego styl pracy i żywiłem dla Niego nie tylko szacunek, ale i całkowicie obiektywne uznanie. Dzisiaj, po latach, zbliżając się do zaułka, z którego pisał te listy, bardziej niż kiedykolwiek widzę kształtujący wpływ Jego postawy i bardziej niż kiedykolwiek oceniam Go i rozumiem.

Czy mam mówić, że widzę Go jeszcze, jak słabnącym już krokiem idzie z wysiłkiem po schodach budynku przy Uniwersyteckiej 3, gdzie Jego obecność w Zakładzie nie zawsze była konieczna, skoro w martwej dla dydaktyki placówce nie było słuchaczy, a rzadko kiedy interesanci, ale gdzie przychodził, póki sił stało, aby pokazać w ten sposób, że Katedra istnieje i że On czuwa nad nią jak dawniej.

Czy mam jeszcze przypominać, że ciężko chory, po stracie najbliższej mu osoby, cierpiąc na coraz większe osłabienie wzroku, miał jeszcze siłę, by czytać rękopis jednego z rozdziałów mej pracy, której zresztą nie widział ukończonej, jak nie doczekał wydania *Słownika*.

Sunt lacrimae rerum...

Ale nie o wspomnienia osobiste tu chodzi - to wszystko jest

już historią, historią ludzi i historią tej Katedry, historią tej Katedry i częścią historii tego Uniwersytetu. Idąc "cokolwiek dalej", tym bardziej cenić trzeba świadectwa przeszłości.

Katedra Filologii Romańskiej
Uniwersytetu Łódzkiego

Kazimierz Kupisz

DE LA CORRESPONDANCE AVEC LE PROFESSEUR BOLESŁAW KIELSKI

Dans cet article l'auteur présente le personnage du professeur Bolesław Kielski. La vie de celui-ci s'est écoulée en activités diverses: le professeur a intensément travaillé dans le corps didactique de l'enseignement secondaire et supérieur, dans un bureau de rédaction. Il a aussi été, et surtout après la deuxième guerre mondiale, très actif dans le domaine de la critique et de la recherche en linguistique. La Chaire de Philologie Romane à l'Université de Łódź est son oeuvre. Parmi les plus connues de ses publications on trouve un dictionnaire français-polonais et un cours de linguistique en deux volumes.

Il tenait particulièrement aux liens de famille, et les sentiments qu'il vouait à ses proches étaient des plus tendres.

Par dessus tout il aimait l'ordre, une bonne organisation et un travail systématique. Il entretenait des relations amicales avec d'autres grands chercheurs polonais. Il participait avec ardeur à la vie de l'Université de Łódź. Il était exemplaire comme directeur de chaire: organisateur infatigable, soucieux du fonctionnement et des biens matériels de son école, et coopérateur serviable dans le travail de la recherche.

Encore que son apport à la formation de la Chaire de Philologie Romane à Łódź ait été considérable, il est toujours resté modeste et n'a jamais cessé de minimiser ses mérites.

Traduction: Witold Konstanty Pietrzak